

Jonathan Edwards

Moja rodzina i inni superbohaterowie
My Family and Other Superheroes

Z angielskiego przełożył
Maciej Świerkocki



VERSOPOLIS

Moja rodzina i inni superbohaterowie
My Family and Other Superheroes

Jonathan Edwards

Moja rodzina i inni superbohaterowie
My Family and Other Superheroes

Z angielskiego przełożył
Maciej Świerkocki

Instytut Kultury Miejskiej
Gdańsk 2016

Evel Knievel' skacze nad moją rodziną

Rzęsiście oświetlony Wembley. Lisa, producentka,
klnie do walkie-talkie. My, cztery pokolenia
rodziny Edwardsów, stoimy w szeregu
między pochylniami: „Uśmiech dla fotoreporterów”.

Moi pradziadkowie na wózkach inwalidzkich
kciukami kręcą młynka, a Lisa nas uspokaja,
pan Knievel podejmował o wiele trudniejsze wyzwania:
piętrowe autobusy, monster trucki, choć żyrafa to

tylko miejska legenda. Wychodzi Evel Knievel,
piosenkę *Eye of the Tiger*² zagłuszając owacje,
a odrzutowe smugi frędzli jego kostiumu
i niespokojna twarz mają podkręcić widownię,

na bank. Moja mama jak zwykle się boi,
pyta o karetkę. Knievel pozdrawia widzów i
podjeżdżając do pochylni, dodaje gazu.
Zamykam oczy, po chwili je otwieram:

czy tak jest w niebie, jakiś
motocyklowy Liberace nad głową,
a pod kołami pustka? Czy te flesze
tysięcy aparatów i oślepiające światło

- 1 Evel Knievel (1938–2007), amerykański kaskader motocyklowy, szczególnie popularny w latach 70-tych XX wieku; skakał na motorze m.in. nad autostradami, przez płonące obręcze i kanion rzeki Snake. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- 2 Piosenka zespołu Survivor z albumu pod tym samym tytułem, *Eye of the Tiger* (1982).

to stan półżycia, o którym opowiadają ci,
którzy z niego wyszli? Zanim ląduje, zerkam:
nikt z nas nie powiedział ani słowa, ale
my, wszyscy Edwardsowie, trzymamy się za ręce.

Gregory Peck i Sophia Loren w Crumlin, na planie filmu *Arabeska*, czerwiec 1965 roku

Niedziela. Tłum pod wiaduktem macha
transparentami z kartonów, prześcieradeł:
„Witamy w Dolinach³, panie Peck!”.
Wiatr zmienia wzorzyste sukienki w kwietne
spadochrony, lecz ondulacje nie ustępują ani na cal.
Makijaż jednej z dziewcząt nie wytrzymuje
napięcia. „Kochamy panią, panno Loren!”. Mój ojciec

parkuje z dala od nich, za zakrętem,
nowo kupione auto, lanchester z lat 30-tych,
mechaniczne hamulce, z akumulatora korzysta na spółkę
z sąsiadem. Szerokie baki, zamysłony, za jednym
uchem papieros, w drugim bura od mojej
babci za to, że nie przystąpił do komunii;
kaszle i schodzi ze stopnia swojego samochodu,

gdy po drugiej stronie stają dwa rolls-royce’y.
Gregory Peck, przed trzema laty był
Atticusem Finchem, wysiada z pierwszego: „Dzień dobry”.
Z drugiego — nie! — tak, ona, kości policzkowe jak biżuteria.
Ojcowskie śniadanie burzy się w żołądku, lecz
tata chwyta gazetę, długopis i „Tak”, dadzą autografy.
Echo jej oddalających się szpilek słychać w całej dolinie.

3 The Valleys – górskie doliny w południowej Walii; niegdyś tereny rolnicze, później, najpierw w połowie XVIII, a potem XIX wieku, uprzemysłowione, głównie dzięki górnictwu, podupadłemu m.in. za rządów Margaret Thatcher, dziś dotknięte wieloma problemami społecznymi, jak bezrobocie i narkotyki.

Tak opowiada o tym mój ojciec. Przymknijmy oko
na to, że filmy datuje niezupełnie jak Google,
a jego Sophia Loren wymawia „s” podejrzenie
podobnie jak on. Spójrzmy lepiej
na zdjęcie zebranej tam wtedy publiki,
do której podszedł podzielić się autografami,
swoją sławą. Tam, na środku, z przodu, z siostrą,

dziewczyna, której jeszcze nie zna — o tam. Moja mama.

Głos, którym czytała mi mama,

to nie głos, którym mówi dzień dobry czy dobranoc,
nie głos karaoke, gdy odkurza, nie głos domowych porządków,
nie głos dla dzieci sąsiadów i spieszzonego imienia naszego psa.

To nie głos od najlepszej porcelany, ani śmiały, ani lękliwy,
nie głos obiad na stole, twój pokój wygląda jak chlew,
nie głos szepczący mi coś do ucha, kiedy poprawia mi krawat.

To nie głos pora spać, z piątku wieczorem, z *Lucy in the Sky*,
nie głos z niedzieli rano, od najlepszej kiecki, błysku w oku,
nie głos od rozprowadzania plotek o wikarym i winie mszalnym.

To nie głos „Ciasto? Nie. Lody? Nie... Nie wiem, czego chcę”.
To nie głos spóźniony o lata, czwarta przebiórka, „Czy ta
spódnica jest dość elegancka?”.
To nie głos, jakim mówiła, kiedy przyłapała mnie z tą
dziewczyną spod 21.

To jest głos babć olbrzymek, włóczęgów z południa Ameryki,
senny głos od sekretnych schodów, samolubnych wielkoludów,
liliputów.
Głos, jakim pyta, potykając się: „Ojej, dlaczego ty masz w domu
tyle książek?”.

**W przerwie meczu Walia-Niemcy, stadion Cardiff Arms Park,
1991 rok**

Zero zero. Drzwi do szatni już zamknięte,
Niemców nie widać i drużyna Walii może
paść: oto Kevin Ratcliffe brzuchem do góry
na stole do masażu; Sparky Hughes
dąsa się w kacie, okłapy jak włosy,

które wtedy nosił. W pierwszej połowie naszym
ledwo się udało kopnąć piłkę. Big Nev Southall rzuca
rękawice na podłogę jak talerze w greckiej restauracji,
a Terry Yorath w dresie i z brzuszkiem
rozgląda się po twarzach z nalepek Panini⁴:

jeszcze nie wie, że nigdy nie wprowadzi ich
do żadnych ważnych finałów. Wie jednak, co powiedzieć.
Ryan Giggs, wciąż tak młody, że mógłby grać
w boysbandzie, wstaje, parodiując swoje zdjęcie
na plakacie w moim pokoju. Publiczność zaczyna

prosić o pomoc wielkiego Jahwe,
a słynne bramkostrzelne wąsy Iana Rusha
ożywiają się. Pół godziny dzieli go od gola,
po którym rozbrzmiewa piosenka, zmieniająca
jego nazwisko w pięć sylab. Nie wie jednak, że

siedzę na stadionie w płaszczu mojego ojca i chłonę
wszystko, żeby opowiedzieć o tym jutro w szkole.

⁴ Założona w 1961 roku włoska firma, sprzedająca m.in. naklejki, karty, komiksy i czasopisma.

Ojciec dolewa herbaty z termosu i mówi:
„Podziwej se, tera ich momy, chopie”, i znowu
pyta, czy nie jest mi zimno. Nie wiemy jednak, że

będziemy o tym rozmawiać dwadzieścia lat później —
pierwszy jako emeryt, drugi: nauczyciel —
na nowym stadionie, który zbudują nad rzeką.
Ale teraz są Rushie Sparky Southall Giggs.
20:45: publiczność zaczyna ryczeć,

chce, żeby ją karmić, aż przestanie chcieć.
Herbata ma posmak blachy, jest za gorąca
i pozostawia coś — dokładnie tu — na języku.
Otwierają się drzwi szatni i gęsiego wychodzą zawodnicy,
rozciągają mięśnie, mrużą oczy w blasku reflektorów:

już czas być tym narodem, którym się kiedyś staniemy.

Jak wyremontować morrisa minora

Oto on w zielonym kombinezonie w panterkę,
przez cały dzień chowa się przed matką pod samochodem.
Czy on nie jest tylko parą nóg, znaczy mój ojciec, gdy

modli się cicho do Boga i uszczelki pod głowicą?
Na ubraniu plamy oleju. Czy starczy mu kieszeni na
wszystkie tajemnice? Leży na wznak, dłubie kluczem

przy nakrętce, jakby odkręcał niebo; ślady jego
uwalanych smarem palców czynią z kuchni miejsce zbrodni.
Gwiazdki ze swojego kubelka oddaje masce,

a kiedy widzi w niej swoją twarz, to
się uśmiecha. Jego noga na pedale gazu
napędza świat, prawa ręka na licytacji

nie umie powiedzieć „nie”, a wieczorem
oto on, oto on — chrapie na kanapie, otwarte
czasopismo motoryzacyjne na kolanach;

śpi, a jego oczy pod powiekami są szybkie
jak jaguary, którymi ściga się w swoich snach.

Anatomia

Te łopatki to Snowdon, Brecon Beacons⁵.
Chodź po nich ostrożnie. Ten kręgosłup to A470;
te dłonie to Ebbw, Wye, Sirhowy⁶. Ten język

to akt zjednoczeniowy Henryka VIII, te płuca
to pylica, te burczące kiszki
to Gurnos⁷, ta szyja: Dic Penderyn⁸. Ten sposób

mówienia to moje dzieci, dzieci moich dzieci.
Te żywotne narządy to Nye Bevan⁹, ta wątroba to
Richard Burton, ta krew: mój ojciec. Te oczy

od pokoleń przebywały pod ziemią: teraz
przywykają do światła. Ten szczerbaty uśmiech
to widziany z angielskiego brzegu most Severn.

- 5 Snowdon – najwyższy szczyt Walii (1085 m.); Brecon Beacons – pasmo górskie i park narodowy w Walii.
- 6 Ebbw Vale – miasto w Walii; Sirhowy – dolina i rzeka w Walii; Wye – walijska rzeka.
- 7 Osiedle w Merthyr Tydfil County Borough w Walii.
- 8 Dic Penderyn (1808–1831) – walijski górnik, uczestnik antybrytyjskiego powstania w 1831 roku, powieszony 13 sierpnia 1831 roku, uznany za męczennika narodowego.
- 9 Aneurin „Nye” Bevan (1897–1960) – Walijszyk, brytyjski polityk, minister w rządach Clementa Attlee’ego, m.in. minister zdrowia.

Widok Valleys High Street z okna kafejki

Na zewnątrz policjanci w mających zwracać uwagę kamizelkach odblaskowych obserwują pchającą wózek samotną mamę ze spuszczoną głową i z twarzą tak wykrzywioną, jakby próbowała kosić

chodnik. Nad głowami podskakują parasole niczym komiksowe dymki, jakby wszyscy myśleli: „Ja cię pierdolę, leje”. Oni tak nie myślą, ci kochankowie, trzymający się za ręce na wysokości

toreb na zakupy, albo ta dziewczyna, co kopci peta, jadąc na rowerze, przez co przypomina naprawdę syfiasty parowóz. Bezdomny z brodą jak cumulonimbus wchodzi do budki telefonicznej, a ja czekam,

żeby wyszedł jako Superman. Sprawdza, czy aparat nie zwrócił drobnych, a jego czworonożny grzejnik merda ogonem. W tej szybie nasze widma, głupie gnoje, siedzą przy stoliku na ulicy,

jedzą ciasto lewą ręką i mokną do suchej nitki. Reklama przed biurem podróży wycenia słońce. Demokratyczny deszcz pada na nią, na nich, na wszystkich.

W międzynarodowym porcie lotniczym im. Johna F. Kennedy'ego

odprawia mnie zębata blondyna, Lucille, jak mówi jej identyfikator. Okazałem bilet, zdziwiłem się, kiedy powiedziała: „Anulowany. Przykro mi, proszę pana”. „Odwołali lot do Cardiff?”, pytam. „To chyba niemożliwe?”. „Nie, proszę pana”, odparła, „...nie rozumie pan. Anulowano ten kraj. Walia już nie istnieje”.

„Co takiego?! Co to ma znaczyć, że Walia nie istnieje?”. „Niech się pan uspokoi, bardzo proszę”, mówi Lucille. „Rząd Stanów Zjednoczonych po prostu zdecydował, że Walia nie istnieje. Czemu trudno się dziwić. Na litość boską, przecież wy nawet ani razu nie graliście na mundialu. Ale niech się pan nie martwi:

dla wygody takich klientów, jak pan, odtworzyliśmy życie przeciętnego Walijszaka w małym muzeum w Kansas. Zakocha się pan w nim. Męski chór śpiewa *Calon Lân*¹⁰, promienieje Lucille, „...baby w czepkach serwują cawl¹¹ i ciasto niespodziankę, i mamy bezpośrednią łączność satelitarną z królem Walii,

Tomem Jonesem, oraz jego siostrą, Catherine Zetą, via Los Angeles, więc czy mógłby pan już przestać płakać?”.

¹⁰ Walijska pieśń, napisana w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku (słowa: Daniel James, muzyka: John Hughes), uważana za oficjalny hymn Walijskiego Związku Rugby i śpiewana niemal przed każdym oficjalnym meczem sparingowym drużyny narodowej. *Calon lân* oznacza „czyste serce”.

¹¹ Walijskie danie narodowe, zupa z mięsa, warzyw korzeniowych i porów.

Rozejrzałem się, zdumiony: na lotnisku było pełno
Walijczyków, oplakujących swój nieistniejący kraj.
Owinięte walijskimi flagami dziewczyny, dziesięć razy
ponętniejsze niż Lucille, pytały, jak skombinować działkę

cyjanku, a mężczyźni wrzucali paracetamol
do wolnocłowej wódki, płacząc nad Walią.
Oszołomiony, patrzyłem, jak Lucille mówi następnemu
pasażerowi: „Przepraszam, Walia została anulowana”.
Miał garnitur niespotykanej już dziś ponoć jakości
i nosił żonkila w klapie, co mnie zaskoczyło, a

kiedy usłyszał, że anulowano Walię, błysnął zdziwionym
uśmiechem. Na słowa Lucille, że Walia została odtworzona
w Kansas, ze śmiechem zatańczył gigę: „Walia nie istnieje!”.w
Znałem jego twarz — kim był ten zdrajca? Przynajmniej się
bliżej, kiedy powiedziała: „Damy panu w zamian bilet na Hawaje”,
i wtedy kochana Lucille wszystko wyjaśniła:

„Jeszcze raz przepraszamy, że Walii już nie ma.
Obsługiwać pana to dla mnie nieoczekiwany zaszczyt. Proszę
mi mówić po imieniu. Miłego lotu, panie premierze”.

Dziewczyna

Ta dziewczyna to ona, dziewczyna, o jaką mi chodzi. W
panterkowych legginsach, „przy których produkcji
nie ucierpiało żadne zwierzę”; jej uszy pytają,

po co właściwie są uszy, jeśli nie po to, by
dźwigać ciężar największych srebrnych kolczyków
w kształcie kół na świecie. Gdy idzie

w szkarłatnych, połyskliwych sześciociałowych
szpilkach, wszystko migocze, wszystko
kużytko. Włosy ma zebrane na czubku głowy

w coś jakby wał obronny na nadbrzeżnym klifie,
do którego od strony morza zbliżają się kamery
w historycznych filmach akcji, w roli głównej

Mel Gibson. W rękawie chowa niczym asa
tataż, chiński ideogram, i wiadomo,
co on znaczy. Patrzcie, to ona, przed Syreną,

robi lekkiego zeza, kiedy się zaciąga
papierosem i woła do jakiejś znajomej
po drugiej stronie ulicy, pyta ją, czy

chce w kły, a co. No więc jak inaczej mam
to powiedzieć? Czy mogę wyrazić się jaśniej?
Ta dziewczyna to ona. To dziewczyna dla mnie.

Hipcio

samotnik, łązega incognito,
dwa głązy wystające z jakby chemicznego bajora
w zoo, reklamującym się fotką swojego hipcia,
którego całodzienny bezruch jest sponsorowany.
Przestań być stereotypem, hipciu, bo inaczej

nie poświęcę ci wiersza. I będziesz tego żałował.
Czym jesteś, jeśli nie czasownikiem „taplać się”?
Czym jest woda, jeśli nie częścią ciebie?
Google mówi, że potrafisz zmiażdżyć w paszczy
forda sierre. Nie mówi, jak to sprawdzono.

Za szybą wybiegu naćpani watą cukrową chłopcy
zakładają się, że potrafią dłużej wstrzymać oddech
pod wodą, przeskoczyć z jednego głąza na drugi.
Porzucam cię
dla żyraf, głupich jak czyściciele okien,

i lwów, słońc z zębiskami,
ale ciągle wracam:
czy gdybyś wstał, pokazał oczy, pysk,
wyglądałbyś jak obłąkany, ubłocony Martin Sheen,
wynurzający się z dymiącej wody w *Czasie apokalipsy*?

Już zamykają. Ostatnie podejście. Och, hipciu,
nie bądź taki skryty, taki skąpy.
Wyłaż, przecież chyba wiesz,
że cię kochamy? Zaraz. Czy to mignęła golizna i
mamy hipciowy peep-show, czy jednak drzemiesz dalej?

Jakaś dziewczynka mówi: „Tatusiu, ta wyspa się rusza”.

Zakonnica na rowerze

Oto nadjeżdża, grzechocze na bruku,
sandałowy napęd, łagodna spadzistość
i łaska boska. Oto nadjeżdża, jej habit

jest czymś, czym zawsze chciał się stać:
smugą spalin. Mija znaki „Stop”, licznych
w godzinie szczytu pieszych, pomrukuje skutery,

a tego dnia już jest trzydzieści w cieniu:
jej szata trzepocze niczym płachta powietrza,
tworzy własną aurę. Czy można mieć pretensje,

że na ostrzejszej stromiznie przyspiesza
i uśmiecha się w przyszłość, przerywa
pacierze, które powtarza w myślach,

żeby powiedzieć „Fruuu”, ciche „Fruuu”, pod nosem?
O, pedału, siostrze! Warto popatrzeć, jak prujesz
przez klimatyzowane powietrze poranka —

kto mógłby powiedzieć, że Bóg, którego nie ma,
nie patrzy na ciebie z góry i się nie uśmiecha?

Pieśń

Więc przybądź do mnie, samolotem, pociągiem, autem,
unicykłem, dziewczyno, vanem self-drive,
na Twitterze, FaceTimie albo za sprawą magii,
och, wynajmij jucznego muła, żyrafę,
och, ukradnij skuter, zapłać jakiemuś mężczyźnie,
żeby cię tu przyniósł, dziewczyno, na barana,
albo namów kolej, by położyła dodatkowy tor
do moich drzwi, do moich stęsknionych rąk.

Więc przybądź do mnie, napowietrznie albo na kredyt,
och, z kopyta, biegiem, z buta
po kamienistej ziemi, żyw się trawą
albo żywopłotem, dziewczyno, czymkolwiek,
i odpoczywaj nad rzekami, pod dachem
lasu w górze. Kieruj się wedle gwiazd albo
GPS-em, ale posłuchaj, dziewczyno, pospiesz się.
Och, pędź ku mojej stęsknionej skórze.

Więc przybądź do mnie. Och, dziewczyno, załatw
sobie broń, sztuczne wąsy i jakiś język ojczysty,
i sama siebie przemyć wczesnym rankiem
pod drutami i przez granicę.
Albo kup rozbity, choć obiecujący wóz
kempingowy i niech świt zastanie cię, dziewczyno,
z twarzą splamioną smarem, przy pracy, aż wrak mrukanie
albo ruszy. Och, poprowadź go ku moim stęsknionym kościom.

Więc przybądź frachtowcem, poduszkowcem lub wysmarowana
gęsim smalcem, z zaciskami na nosie, brawurowo albo
w dmuchanych pływakach przepłyni żabką morze, dzielące

mnie od ciebie, albo zamontuj silnik od traktora na
materacu, gumowym kole albo wiosłowej łódce.
Mój dom jest z tych rąk, z tej skóry, z tych kości.
Mój dom jest ze słomy i kruchych gwiazd.
Och, przybądź do mnie. Och, bądź ze mną, tu, gdzie jesteś.

JONATHAN EDWARDS

Urodził się w 1979 r. Za swój debiutancki zbiór wierszy pt. *My Family and Other Superheroes* (Moja rodzina i inni superbohaterowie, Seren 2014) otrzymał Costa Poetry Award 2014 oraz Wales Book of the Year People's Choice Award. Znalazł się również w finale nagrody Fenton Aldeburgh First Collection Prize. Laureat Międzynarodowego Konkursu Poezji w Cardiff, Międzynarodowego Konkursu Poezji na Festiwalu w Ledbury oraz Basil Bunting Award. Publikował m.in. w: „Poetry Review”, „New Welsh Review”, „Poetry Wales” i „The North”. Edwards pracuje jako nauczyciel angielskiego.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Urodził się w 1961 r. w Łodzi. Tłumacz literatury anglojęzycznej, scenarzysta, pisarz i krytyk. Od 2010 r. przewodniczący jury Ogólnopolskiego Anglojęzycznego Konkursu Translatorskiego im. Zbigniewa Batki, organizowanego w ramach festiwalu Puls Literatury. Pierwszy Polak zasiadający w jury prestiżowego międzynarodowego konkursu literackiego Dublin IMPAC International Literary Award 2014. Członek honorowy Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. W 2015 r. otrzymał nagrodę „Literatury na świecie” w kategorii „proza” za przekład powieści *Candy Terry*'ego Southerna i Masona Hoffenberga.

Jonathan Edwards

My Family and Other Superheroes

Evel Knievel Jumps Over my Family

A floodlit Wembley. Lisa, the producer,
swears into her walkie-talkie. We Edwardses,
four generations, stand in line,
between ramps: *Smile for the cameras.*

My great-grandparents twiddle their thumbs
in wheelchairs, as Lisa tells us to relax,
Mr Knievel has faced much bigger challenges:
double-deckers, monster trucks, though the giraffe

is urban legend. Evel Knievel enters,
Eye of the Tiger drowned by cheers,
his costume tassels, his costume a slipstream,
his anxious face an act to pump the crowd,

surely. My mother, always a worrier,
asks about the ambulance. Evel Knievel
salutes, accelerates towards the ramps.
I close my eyes, then open them:

is this what heaven feels like,
some motorcycle Liberace overhead,
wheels resting on air? Are these flashes
from 60,000 cameras the blinding light

coma survivors speak of? Before he lands,
there's just time to glance along the line:
though no one's said a thing,
all we Edwardses are holding hands.

**Gregory Peck and Sophia Loren in Crumlin for the Filming
of *Arabesque*, June 1965**

Sunday. The crowd beneath the viaduct
waves banners made from grocery boxes, bedsheets:

Welcome to the valleys Mr Peck!

Wind turns their chapel dresses into floral
parachutes; their perms don't budge an inch.

The emotion of it's too much for one girl's
mascara. *We love you Miss Loren!* My father

parks away from them, around the corner,
in his brand new car, a '30s Lanchester,
with stop-start brakes, a battery he shares
with a neighbour. All sideburns and ideas, a roll-up
behind one ear and a flea in the other
from my gran for missing Eucharist,
he coughs and steps down from the running board,

as two Rolls-Royces pull up opposite.

Gregory Peck, three years after being

Atticus Finch, steps from one, says *Good morning*.

From the other – it isn't! – it is, wearing her cheekbones.

My father's breakfast is nervous in his stomach,

but he grabs his *Argus*, pen, and *Yes*, they'll sign.

Her high heels echo away through the whole valley.

That's how my father tells it. Let's gloss over
how his filming dates aren't quite the same as Google's,
the way Sophia Loren formed her Ss
suspiciously like his. Let's look instead
at this photo of the crowd gathered that day,

he walked towards to share those autographs,
his fame. There, front and middle, with her sister,

the girl he hasn't met yet – there. My mother.

The Voice in which my Mother Read to Me

isn't her good morning, good afternoon, good night voice,
her karaoke as she dusts, make furniture polite voice,
her saved for neighbours' babies and cooing our dog's name voice.

It isn't her best china, not too forward, not too shy voice,
or her dinner's ready, your room looks like a sty voice,
or her whisper in my ear as she adjusts my tie voice.

It's not her roll in, Friday night, Lucy in the Sky voice,
her Sunday morning, smartest frock, twinkle-in-the-eye voice,
that passing gossip of the vicar with the Communion wine voice.

It's not her 'Gateau – no, ice cream – no... I can't make the choice'
voice.
It's not her decades late, fourth change, 'Is this skirt smart enough?'
voice.
It's not her caught me with the girl from number twenty-one
voice.

That voice which she reserved for twelve-foot grannies, Deep
South hobos,
that sleepy, secret staircase, selfish giants, Lilliput voice.
That tripping over, 'Boy, why is your house so full of books?' voice.

Half-time, Wales vs. Germany, Cardiff Arms Park, 1991

Nil-nil. Once the changing room door's closed,
the Germans out of sight, the Welsh team can
collapse: there's Kevin Ratcliffe, belly up
on the treatment table; Sparky Hughes's body
sulks in the corner, floppy as the curls

which he had then. All half, they've barely had
a kick. Big Nev Southall throws his gloves
to the floor, like plates in a Greek restaurant
as, in tracksuit and belly, Terry Yorath
looks round at a room of Panini faces:

he doesn't know yet he will never get them
to a major finals. He does know what to say.
Ryan Giggs, still young enough to be
in a boy band, stands up, doing an impression
of his poster on my wall. The crowd begins

to ask for guidance from the great Jehovah
and Ian Rush's famous goal-scoring
moustache perks up. He's half an hour away
from the goal that cues the song that makes his name
five syllables. What he doesn't know

is I'm in the stand in my father's coat,
storing things to tell at school next day.
My father pours more tea from his work flask
and says *We got them now butt, watch* and asks
again if I'm too cold. What we don't know

is we'll speak of this twenty years from now –
one of us retired, one a teacher –
in a stadium they'll build down by the river.
But now it's Rushie Sparky Southall Giggs.
8.45: the crowd begins to roar,

wants to be fed until they want no more.
The tea tastes just like metal, is too hot
and something catches – right here – on the tongue.
The changing room door opens and they step out,
toe-touching, stretching, blinking under floodlights –

it's time to be the people we'll become.

How to Renovate a Morris Minor

That's him, in the camouflage green overalls,
hiding under the car all day from my mother.
What is he but a pair of feet, my father,

muttering prayers to God and the sump gasket,
wearing oil drips, enough zips for all
his secrets? On his back, he pokes a spanner

up at a nut, as if unscrewing heaven;
grease-fingers make a crime scene of the kitchen.
He gives the stars in his bucket to the bonnet

and when he sees his face in it then it
is smiling. His foot on the accelerator
makes the world go, his right arm at the auction

can't say *No* and when the day is over,
that's him, that's him – he's snoring on the sofa,
Practical Classics open on his lap –

his eyes dart under their lids as he sleeps,
like Jaguars he's racing in his dreams.

Anatomy

These shoulder blades are Snowdon, the Brecon Beacons.
Walk gently on them. This spine is the A470;
these palms are Ebbw, Wye, Sirhowy. This tongue

is Henry VIII's Act of Union, these lungs
pneumoconiosis, these rumbling guts
the Gurnos, this neck Dic Penderyn. This manner

of speaking is my children, my children's children.
These vital organs are Nye Bevan, this liver
Richard Burton, this blood my father. These eyes

have been underground for generations; now
they're adjusting to the light. This gap-toothed smile
is the Severn Bridge, seen from the English side.

View of Valleys High Street through a Café Window

Out there, policemen in attention-seeking
fluoro-vests eye up a single mam
pushing a pram, her head down and her face
so much a frown, it's like she's trying to mow

the pavement. Brollies bob above each head
like thought balloons, if everyone were thinking,
Fuck me, it's raining. They're not thinking that,
these lovers who hold hands at just the height

of shopping bags, or this girl who smokes a fag
and rides a bike past, like a really crap
steam train. A man with a cumulonimbus
beard enters a phone box and I wait

for him to emerge as Superman. He checks
the tray for change, as his hot water bottle
wags its tail. In this window, our ghosts,
those silly sods, sit at the pavement table,

eating cake from their left hands and getting
soaked. A board outside the travel agent's
puts a price on the sun. The democratic
rain falls on it, on them, on everyone.

In John F. Kennedy International Airport,

a toothy blonde, whose name tag said *Lucille*,
served me at check-in. I showed my ticket, was surprised
when she said, 'That's been cancelled. Sorry, sir.'
'The flight to Cardiff's off?' I said. 'It can't be, can it?'
'No sir,' she said, 'you don't quite understand. Wales
has been cancelled. It no longer exists.'

'What?!' I said. 'What do you mean, Wales doesn't exist?'
'Sir, do try and calm down,' said Lucille.
'The US Government has simply decided Wales
doesn't exist. You can hardly be surprised.
For God's sake, you guys never even made it
to the soccer World Cup finals. But don't worry, sir:

just for the convenience of clients like you, sir,
we've re-created the essential Welsh existence
in a small museum in Kansas. You'll just love it.
Male voice choirs sing *Calon Lân*,' beamed Lucille,
'as bonneted crones serve cawl-and-Welsh cake surprise,
and there are satellite link-ups with the King of Wales,

Tom Jones, and his sister, Catherine Zeta, direct from Wales
via LA. Now, could you please stop crying, sir?'
I glanced round the airport: it was full, to my surprise,
of Welshmen, mourning their land which didn't exist.
Wrapped in Welsh flags, girls ten times lusher than Lucille
asked each other where to they could score a hit

of cyanide, as men opened paracetamol, dropped it
into duty-free vodka, blubbing for Wales.

Dazed, I watched the next passenger approach Lucille
and her say, 'I'm sorry, that's been cancelled, sir.'
This guy's suit was that quality they say no longer exists,
a daffodil in his lapel, so I was surprised,

when he heard Wales had been cancelled, he flashed a surprised
smile. When she told him they'd re-created it
in Kansas, he danced a jig, laughing, 'Wales doesn't exist!'
That face looked familiar – who was this betrayer of Wales?
As she told him, 'We'll switch you to the Hawaii flight, sir,'
I leaned in to hear and that was when she said it, old Lucille:

'Our apologies again that Wales no longer exists.
What an honour and surprise to serve you. Please, call me Lucille.
Now I hope it's a pleasant flight, Mr First Minister, sir.'

Girl

That girl's the girl I mean. That one now, wearing
no-animals-were-harmed-in-making-these-
leopardskin leggings, ears posing the question

of what are ears for, really,
but bearing the weight of the biggest silver-
coloured hoops on earth? In diamanté

scarlet heels, six inch,
when she walks, everything sparkles, everything
limps. Her hair is piled up on her head,

like the kind of coastal clifftop rampart
cameras swoop in at from the sea,
in historical action movies, featuring

Mel Gibson. Up her sleeve
is a tattoo, a Chinese symbol, and what it means
is clear. Look, that's her now, outside The Mermaid,

going a little cross-eyed as she draws
on a cigarette and shouts across the street,
asks an acquaintance if she'd like

some, would she? So how else
can I put it? How much clearer can I be?
That girl's the girl. That girl's the girl for me.

The Hippo

is solo, hobo, incognito,
two boulders curving out of Dettol-murk,
in a zoo his photo advertises,
doing a sponsored sitting-still all day.
Stop being a cliché, hippo, or I won't

write a poem about you. Then you'll be sorry.
What is your body but the verb *To wallow*?
What is the water but a part of self?
Google says you can crush a Ford Sierra
between your jaws. They don't say how they test this.

Candyfloss-high boys crowd your glass, betting
they could hold their breath underwater longer,
they could leap from one boulder to the other.
I abandon you
for the giraffes, stupid as window cleaners,

the lions, sunshine with teeth,
but keep coming back:
if you were to rise, show your eyes, your mouth,
would you have Martin Sheen's mud-crazy face,
breaking smoke-water in *Apocalypse Now*?

Closing time. One last go. O please, hippo,
don't be so self-effacing, so tight-fisted.
Come on out, don't you know
we love you? Wait. Is that a flash of flesh,
a hippo peepshow, or are you still snoozing?

A little girl says, *Dad, that island's moving.*

Nun on a Bicycle

Now here she comes, rattling over cobbles,
powered by her sandals, the gentle downhill
and the grace of God. Now here she comes, her habit

what it was always waiting to become:
a slipstream. Past stop signs, the pedestrian
traffic at rush hour, the humdrum mopeds,

on a day already thirty in the shade:
with her robe fluttering like solid air,
she makes her own weather. Who could blame her

as the hill sharpens, she picks up speed and smiles
into her future, if she interrupted
the *Our Fathers* she's saying in her head,

to say *Whee*, a gentle *Whee*, under her breath?
O cycle, Sister! Look at you now, freewheeling
through the air conditioning of the morning –

who's to say the God who isn't there
isn't looking down on you and grinning?

Song

So come to me, by plane, by train, by car,
by unicycle, girl, by self-drive van,
by Twitter, FaceTime or by sleight-of-hand,
oh lease yourself a pack-mule, a giraffe,
oh steal yourself a moped, pay a man
to carry you here, girl, on piggyback,
or get the railway to lay extra track
up to my door, up to my waiting hands.

So come to me, on fresh air or on credit,
oh hoof it, leg it, go by Shanks's pony
over stony ground and live off grass
or hedgerow, girl, whatever you can forage,
and rest on river banks, beneath a roof
of forest. Navigate your way by stars
or GPS, but listen, girl, be quick.
Oh speed yourself towards my waiting skin.

So come to me. Oh score yourself a gun,
a false moustache, girl, and a native tongue,
and smuggle yourself in the early hours
under wire and across the border.
Or buy yourself a wrecked and promising
motorhome and let dawn find you, girl,
with oil-stained cheeks, just working till it purrs
or goes. Oh drive towards my waiting bones.

So come, by raft, by hovercraft, or do
a goose-fat, nose-clipped, brave or water-winged
breaststroke through the sea that's parting me

from you, or fit a tractor engine to
a li-lo, rubber ring, a rowing boat.
My home's made by these hands, this skin, these bones.
My home is made of straw and fragile stars.
Oh come to me. Oh make this where you are.

JONATHAN EDWARDS

Born in 1979. His first collection, *My Family and Other Superheroes* (Seren, 2014) won the prestigious Costa Poetry Award 2014 and the Wales Book of the Year People's Choice Award. It was shortlisted for the Fenton Aldeburgh First Collection Prize. His poems have won prizes in the Cardiff International Poetry Competition, the Ledbury Festival International Poetry Competition and the Basil Bunting Award, and appeared in magazines including *Poetry Review*, *New Welsh Review*, *Poetry Wales* and *The North*. He works as an English teacher.

OD WYDAWCY

Niniejszy wybór wierszy zawiera utwory pochodzące z tomiku *My Family and Other Superheroes* (Moja rodzina i inni superbohaterowie, 2014):

Evel Knievel skacze nad moją rodziną 5 Evel Knievel Jumps Over my Family 25

Gregory Peck i Sophia Loren w Crumlin, na planie filmu *Arabeska*, czerwiec 1965 roku 7 Gregory Peck and Sophia Loren in Crumlin for the Filming of *Arabesque*, June 1965 26

Głos, którym czytała mi mama 9 The Voice in which my Mother Read to Me 28

W przerwie meczu Walia-Niemcy, stadion Cardiff Arms Park, 1991 rok 10 Half-time, Wales vs. Germany, Cardiff Arms Park, 1991 29

Jak wyremontować morrisa minora 12 How to Renovate a Morris Minor 31

Anatomia 13 Anatomy 32

Widok Valleys High Street z okna kafejki 14 View of Valleys High Street through a Café Window 33

W międzynarodowym porcie lotniczym im. Johna F. Kennedy'ego 15 In John F. Kennedy International Airport 34

Dziewczyna 17 Girl 36

Hipcio 18 The Hippo 37

Zakonnica na rowerze 19 Nun on a Bicycle 38

Pieśń 20 Song 39

SERIA: Versopolis

KOORDYNACJA: Piotr Mielcarek

REDAKCJA I KOREKTA: Tadeusz Dąbrowski

TEŁMACZENIE TEKSTU O AUTORZE: Agata Teperek

PROJEKT OKŁADKI, PROJEKT TYPOGRAFICZNY I SKŁAD: Tomasz
Pawluczuk Nylon Studio

DRUK I OPRAWA: Wrocławska Drukarnia Narodowa PAN im. Stanisława
Kulczyńskiego Sp. z o.o.

© Jonathan Edwards

© for the Polish translation by Maciej Świerkocki

Instytut Kultury Miejskiej

Długi Targ 39/40

80-830 Gdańsk

www.ikm.gda.pl

www.europejskipoetawolnosci.pl

www.versopolis.com



instytut
kultury
miejskiej



VERSOPOLIS
where
poetry
lives



With the support of the
Creative Europe Programme
of the European Union

Projekt realizowany przy wsparciu Unii Europejskiej w ramach Programu Kreatywna Europa. Niniejsza publikacja wyraża wyłącznie poglądy i opinie jej autora, Komisja nie może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jakiegokolwiek użycie informacji w niej zawartych.

ISBN: 978-83-64610-52-3

Versopolis to założona w grudniu 2014 roku platforma literacka poświęcona poezji. Jej celem jest wspieranie młodych europejskich twórców i promocja ich dorobku poza granicami ojczystych krajów. W skład platformy wchodzi 13 festiwali literackich, w tym Międzynarodowy Festiwal Literatury Europejski Poeta Wolności, organizowany przez Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku.

INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ
GDAŃSK 2016

Paula Bozalongo
Goran Čolakhodžić
Veronika Dintinjana
Jonathan Edwards
Gjoko Zdraveski



ISBN: 978-83-64610-52-3